



Instytuty i korporacja – razem, czy osobno

Dyskusja na temat kształtu przyszłej ustawy o PAN nabiera tempa i mocy. Zdania są mocno podzielone, ale co do jednego wszyscy się chyba zgadzają: organizacja wewnętrzna PAN wymaga zmiany. Jednym z dyskutowanych zagadnień jest współpraca i wzajemne zależności między Korporacją a instytutami naukowymi PAN (IPAN). Czy konieczne są w tym zakresie zmiany legislacyjne i odpowiednie zapisy w nowej ustawie o PAN? Uważam, że obecne warunki finansowania i prowadzenia badań w Polsce już teraz umożliwiają taką współpracę.

Nie rosząc sobie pretensji do snucia imperialnych planów, chciałbym jako dyrektor IPAN-u zająć się dwiema, widocznymi doskonale z mojego poziomu sprawami, które wielkiego związku z reformą PAN nie mają i można je zapewne zrealizować bez czekania na nową legislację.

Po pierwsze, znane mi instytuty PAN są przyjaźnie nastawione do współpracy z naukowcami spoza instytutów i członkowie Korporacji nie stanowią tutaj żadnego wyjątku. Obserwuję, że liczba aplikacji grantowych składanych wspólnie przez naukowców z różnych instytutów czy placówek – jeszcze dziesięć lat temu rzecz doprawdy rzadka – poza dużymi projektami unijnymi, stale rośnie.

Nie przypadkiem mówię o grantach, bo pytanie, „skąd wziąć na to pieniądze” zawsze pojawia się prędzej czy później w trakcie rozważania nowych projektów. Pytanie to zadają sobie stale wszyscy pracownicy samodzielni Centrum Fizyki Teoretycznej (CFT) PAN, to należy wręcz do ich obowiązków. Niewolni od tego są adiunkci, którzy muszą myśleć o znalezieniu stałej pozycji i którzy bardzo często szukają miejsca dla siebie, wnosząc wiano w postaci grantu, który od razu pozwoli zbudować zręb zespołu badawczego.

Dlatego, jeśli przyjdą do naszej dyrekcji członek Akademii z kimś z instytutu z propozycją współpracy, naturalnie pojawi się także pytanie o finansowanie. Żyję w przeświadczeniu, że w 2019 roku nikt się o takie pytanie nie powinien obrażać. Środków finansowych, które są w dyspozycji instytutu, nie możemy angażować w projekty zewnętrzne, przynajmniej nie w dużej skali, bo zostały wypracowane przez pracowników, których wysiłek został

doceniony przez przyznanie kategorii i związanego z nią finansowania, i to na finansowanie ich badań powinny być przeznaczone.

Tyle że to nie jest sytuacja bez wyjścia, wręcz przeciwnie. Odpowiedź na pytanie o finansowanie jest w pewnym sensie dzisiaj łatwiejsza niż kiedykolwiek. Istnieją duże projekty grantowe, właśnie zakończyła się faza konkursów na Międzynarodowe Agendy Badawcze (MAB), realizowanych przez Fundację na rzecz Nauki Polskiej, ale są już konkursy innego typu, o podobnym potencjale finansowym, a i Narodowe Centrum Nauki (NCN), i Narodowe Centrum Badań i Rozwoju (NCBiR) mają w swoich ofertach naprawdę duże granty, których realizacja jest praktycznie równoważna, jeśli nie powołaniu nowego instytutu, tak jak w przypadku MAB, to przynajmniej powołaniu i utrzymaniu przez kilka lat własnej grupy badawczej. Otóż takie granty można z powodzeniem realizować w instytutach PAN, które, żyjąc, tak jak instytuty Wydziału III, w 50% ze środków grantowych, są dobrze do tego przygotowane. Można liczyć na wsparcie administracyjne przy pisaniu wniosku i przy jego realizacji, a w CFT PAN dodatkowo jeszcze 30% kosztów pośrednich wraca do dyspozycji kierownika grantu. Uważam, że to są przyzwoite warunki i nie powinny kłuć w oczy nikogo, kto chce być aktywny naukowo i szuka po temu odpowiedniej platformy. Nie widzę, gdzie tutaj potrzebna jest ingerencja Ministra Nauki lub Prezesa PAN w postaci zmiany istniejących obecnie zasad na drodze legislacji.

Druga sprawa, doskonale widoczna z mojego poziomu, dyrektora IPAN-u, niebędącego członkiem Korporacji, to sprawa podniesienia uposażeń jej członków. W tych trudnych czasach mamy nadzieję, że to nauka będzie źródłem nowych rozwiązań, które pozwolą opłacać sytuację i przywrócą stan zbliżony do równowagi. W tej sytuacji powinno być także jasne, że, parafrazując znaną anegdotę, Polska jest krajem, w którym warto się urodzić, którego warto bronić, ale także – w którym warto być światowej klasy uczonym. Pora na zdecydowany sygnał, polegający na radykalnym podniesieniu świadczeń dla członków Korporacji, świadczący, że polskie społeczeństwo ceni naukową doskonałość w skali światowej.

Nie będą natomiast takim sygnałem kolejne regulacje prawne.

LECH MANKIEWICZ

Centrum Fizyki Teoretycznej PAN



Per aspera

Piszę w sprawie ostatniej ministerialnej listy wydawnictw („PAUza Akademicka” 457). Od początku XVI wieku rozsądnikiem myśli były, powstające jak grzyby po deszczu, oficyny wydawnicze – niewątpliwie nowy, nowoczesny, demokratyczny (drukować mógł każdy, kogo było na to stać) i uniwersalny środek przekazu informacji. Dziś takim środkiem jest, czy się komu podoba, czy nie, Internet oraz wydawnictwa elektroniczne. Brak takich wydawnictw, które by – analogicznie jak tzw. czasopisma elektroniczne – publikowały wyłącznie w sieci. To istotne ograniczenie „papierowej” listy. Skoro figurują na niej wydawnictwa zajmujące się głównie popularyzacją, to dlaczego oficyny elektroniczne lub w ogóle strony internetowe miałyby być z tej listy wykluczone? Tym bardziej, gdy miarą oceny ma być poczytność tekstu, ukryta pod terminem „obieg naukowy”.

Przed wszystkim pomysł ustalenia takiej listy likwiduje konkurencję ze strony wydawnictw nowo powstających. Kto bowiem będzie chciał publikować w wydawnictwie nieprzynoszącym materialnego i naukowego profitu w postaci punktów? Nowe wydawnictwa wbrew pozorom pomagają w utrzymaniu poziomu, bo autor może przenieść się do konkurencji lub sam opłacić druk w dowolnej oficynie, ponadto stymulują życie naukowe w małych ośrodkach i w przypadku badań regionalnych. Myślę, że jesteśmy świadkami podziału wpływów w świecie wydawnictw, które otrzymują demokratyczny monopol na obsługę polskiej nauki. Ponadto „lista wydawnictw” stanie się surrogatem recenzji, zastępując faktycznie wymóg recenzowania prac do druku (wydawnictwa popularne zamawiać będą o wiele częściej recenzje przychylnie, fikcyjne lub napisane przez samych autorów). Większość produkcji naukowej to kompilacje, przyczynkarstwo, nuda lub chłam, które w ten sposób zostałyby dodatkowo nobilitowane, otrzymując ministerialny i wydawniczy stempel „naukowości”. Wydawnictwa popularne produkują dla zysku, ich właściciele punkty nic nie obchodzą, stawiają więc autorom publikacji naukowych jeden zasadniczy wymóg – towar musi się sprzedać.

Republika naukowców nie ma granic. Nauki ściśle same regulują swój światowy obieg, bez pomocy ministerialnych punktów, o czym świadczy choćby przykład Kopernika, publikującego oczywiście w ówczesnej lingua franca, czyli po łacinie, do czego nie potrzebował żadnych zachęt ze strony rządzących. Nauki humanistyczne, i po części społeczne, mają obieg swoisty i żadne punkty go nie skorygują, nadając mu pożądaną przez ustawodawcę kierunek. To mrzonka oświeceniowa. Będziemy za to świadkami, czemu służy ministerialna stymulacja, ucieczki publikacji autorskich na Zachód, uszczuplającej obieg myśli naukowej oraz wydawniczej w Polsce (a choćby w postaci nowych miejsc pracy, o których rządzący zawsze trąbią). Prof. Woleński zwrócił uwagę na rażącą dlań nieobecność na tej liście wydawnictw zagranicznych ze Wschodu. To dowód ciągłości z okresem Polski Ludowej, w której nauka jak najbardziej miała granice państwowe i geograficzne, nakreślone wymogami

geopolityki, a zarazem widomy znak przejmowania polskiej myśli naukowej przez ośrodki anglojęzyczne (charakterystyczne, że „lista” traktuje po macoszemu wydawnictwa krajów romańskich), zapoczątkowany drenażem mózgów polskiej inteligencji w wyniku emigracji z lat osiemnastych.

Za dobre rozwiązanie uważam system amerykański, czyli w wielkim uproszczeniu badania naukowe w rękach instytucji prywatnych, ale jego wprowadzenie musiałoby oznaczać zaprzestanie zarządzania przez państwo całego życia społeczno-gospodarczego, co uznaję za niemożliwe. Zatem trzeba wlewać nowe wino do starych bukłaków i nasywiać nowe łąki na stare lumpy, ale jak długo wytrzymają? Brak zaś we współczesnych dyskusjach o polskiej nauce może nie nowej, bo to wszystko stare jak świat, ale odmiennej wizji rozwoju, poza stałymi wariacjami postępującej geometrycznie etatyzacji.

Jako wyjście doraźne, pośrednie, widzę zmianę charakteru ustanawiania prawa. Niech rosną kolejne punkty, listy, zasady, przepisy, co nieuniknione, lecz niech staną się tylko i wyłącznie wewnętrzną ewaluacją w urzędach, to jest niech nie mają mocy ustaw, rozporządzeń ministra itd. Powinny nosić charakter wyłącznie wewnętrznych kryteriów oceny ministerialnych urzędników, pomagających im poruszać się w tym skomplikowanym świecie na styku nauki, finansów i biurokracji. Decyzje oczywiście byłyby jawne i konkretne. Byłyby one nadal podstawą przydzielania pieniędzy, lecz za każdym razem decyzję można by skutecznie (co nie znaczy, że z pozytywnym skutkiem) zakwestionować, przedstawiając argumenty merytoryczne. Wiem, oznacza to, że urzędnik byłby sługą petenta, a nie panem, jak do niedawna działał się w Wielkiej Brytanii. Poprzedzić takie rozwiązanie musiałby przewrót umysłowy w Polsce, na miarę tego, który dokonał się w wieku XVIII.

Jest to więc pieśń przyszłości.

Zakończę historią anegdotyczną, lecz chyba prawdziwą. Babcia moja wydała w latach dwudziestych ubiegłego wieku nudną jak flaki z olejem, choć – wierzę – cenną dla specjalistów pracę doktorską o drukarzach poznańskich w XVI wieku. Ciż sami, tylko dwudziestowieczni drukarze oparli się z wdzięczności jeden z egzemplarzy książki w, o zgrozo, świńską skórę. Dzięki temu znalazł się on w Kanadzie na jakiejś światowej wystawie, gdzie reprezentował historyczną i współczesną polską myśl drukarską. Egzemplarz w ten sposób ocalał z zawieruchy wojennej i wrócił po okupacji do Polski, coś jak historia arrasów wawelskich w pigułce. O szczytnych celach polityki ministerialnej wiem tyle, co „świnia o gwiazdach” (tu przypis bibliograficzny, pozwalający odrzucić zarzut o plagiat oraz wzmóc siłę cytowania – zawdzięczam znajomość tej figury retorycznej przyjacielowi z Polski, biofizykowi w Kalifornii), no więc jak ta biedna świnka, ale wiem jedno i jest to dla mnie jasne jak słońce na niebie: gdyby owa polityka wydawnicza obowiązywała sto lat temu, na pewno babcina książka w cudnej świńskiej oprawie nie ujrzałaby światła dziennego.

JACEK ŻUREK

Warszawa

Reforma przeciw różnorodności

Pozwolę sobie zacząć od wspomnienia. Maturę użyłam w prywatnym liceum SS. Zmartwychwstanek na warszawskim Żoliborzu w 1950 roku. W rozmowie na temat studiów siostra dyrektorka powiedziała ze smutkiem:

„Moja biedna Zosiu, ty powinnaś studiować filozofię, ale teraz jej nie ma, jest tylko marksizm”. Los, noszący nazwisko Emila Kipy, profesora historii, zrzucił, że skończyłam studium historii kultury materialnej. Nazwa ta była przykrywką dla profesjonalnie prowadzonej archeologii klasycznej i pradziejowej, przy której zachowano oskarżaną o rasizm antropologię, oraz etnografię. Etnologię uznano też za naukę burżuazyjną, stąd, za przykładem uczonych radzieckich, zachowano tylko nazwę etnografia.

Zastanawiam się, co ja powinnam teraz powiedzieć moim młodszym koleżankom i kolegom, wykształconym antropologom, którym, po skreśleniu etnologii z listy dyscyplin naukowych, proponuje się doktorat z bliżej nieokreślonych nauk o kulturze i religii (jakiej?!). Wszak ministerialne ustalenia odbijają się na losach jednostek.

Zarówno decyzje z lat 50. XX w., jak i dzisiejsze mają charakter polityczny, choć inne cele. Łączy je jednak lekceważenie nie tylko istniejącego dorobku wspólnot naukowych, ale także pominięcie dobrze funkcjonującego mechanizmu regulującego relacje między niechcianym rozdrobnieniem nauki a konieczną jej różnorodnością.

Szczegółowość pytań naukowych i udzielanych odpowiedzi wzrasta z czasem. Stąd naturalna tendencja do sprowadzania ich do problemów uznanych za podstawowe, unikanie rozdrobnienia. Ale pamiętniki uczonych ukazują, jak złożone i kręte, często niezgodne z istniejącą klasyfikacją nauk, były drogi, na których każdy z nas poszukiwał swego okrętu „Beagle”. W różnorodności rozwiązań, jakie zapewnia nam kultura, C. Lévi-Strauss widzi siłę gatunku homo sapiens, siłę zapewniającą przetrwanie (1). Różnorodność to nie niekorzystne rozdrobnienie. Przybiera różne formy, czego dowodem jest opis dużych projektów, jak CERN i SESAME w „PAUzie” (457). Jednak piękne i pożyteczne jest nie tylko „duże”.

„Małe” też jest piękne i, co ważniejsze, może być skuteczne w działaniu. To zależy przecież od tego, jaki problem rozwiązujemy. Antropologia i etnologia są „małe” wobec całej humanistyki, ale „duże” w swej ogólności i skuteczności oddziaływania na inne dyscypliny.

Antropologia jako ogólna nauka o człowieku, o jego osobliwości gatunkowej i twórczości, w tym o poszukiwaniu genezy różnic między ludźmi i ich znaczenia dla naszych dziejów, musi, zależnie od problemu, krzyżować się z innymi naukami, zarówno humanistycznymi jak i społecznymi, i przyrodniczymi. I nie ma żadnego powodu, by nas zamykać w jednej „klatce”. Z własnej, a nie ministerialnej inicjatywy podejmujemy współpracę zależnie od problemu. Nigdy jej nie unikamy.

Dotyczy to nie tylko antropologii i szerzej – humanistyki. Krzyżują się też nauki przyrodnicze. Nauka to zbiór umysłów ludzi stawiających ważne pytania, dysponuje ona też mechanizmami przeciwdziałającymi nadmieremu rozdrobnieniu. Dziś mechanizm ten uruchamiają badania inter- i transdyscyplinarne. Badamy procesy integracji europejskiej, globalizacji, migracji, prawa człowieka, stosunek do inności, zgłębiamy procesy i problemy. Moje młodsze koleżanki i koledzy w Instytucie Etnologii i Antropologii Kulturowej UW badają w ten sposób „dzieciństwo”, a także fenomen „choroby”, w tym rzadkich chorób metabolicznych, angażując w to zarówno humanistykę jak i nauki przyrodnicze. Ta współpraca to konsekwencja takiego, a nie innego postawienia problemu.

A jest ono możliwe dzięki ogólności antropologii/etnologii, ich dorobku, tradycji. Samo ich powstanie w XIX wieku jest dowodem na konieczną, naturalną, niezarządzaną odgórnie różnorodność w nauce. Różnorodność to warunek naszego istnienia jako gatunku, a także twórczej nauki. Warunek sine qua non.

Nie są nim punkty, złudne wrażenie poprawności porównania. Nie jest nią odgórne przypisanie do jednej grupy dyscyplin naukowych. To badacze powinni decydować, z kim nam jest po drodze. W moim przypadku my – jako antropologowie i etnologowie.

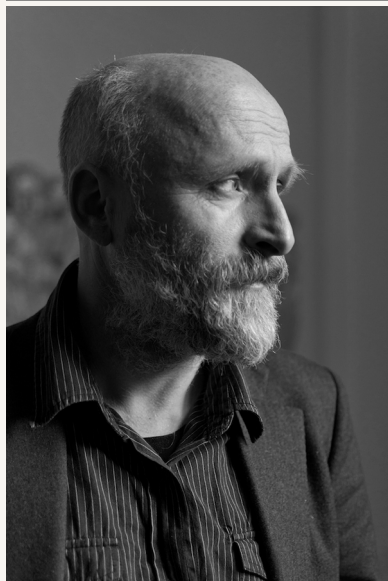
Boże, chroń nas przed ministerialną idée fixe.

ZOFIA SOKOLEWICZ

Instytut Etnologii i Antropologii UW

¹ Claude Lévi-Strauss, *Antropologia wobec problemów współczesnego świata*, tłum. Maciej Falski, WUJ, Kraków 2013, s. 42 i n. (Tytuł oryginału: *L'Anthropologie face aux problèmes du monde moderne*, Éditions du Seuil, Paris 2011).

Galeria PAUzy



Jan Tutaj (1969) urodzony w Jaśle. Absolwent Wydziału Rzeźby Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. W roku akademickim 1993/94 staż studyjny na Akademii der Bildende Künste w Norymberdze. Dyplom z wyróżnieniem w pracowni prof. Józefa Sękowskiego w 1994 roku. Stypendysta Ministra Kultury i Sztuki (1993). Otrzymał także Stypendium Twórcze Miasta Krakowa (1999). Prowadzi Pracownię Rzeźby dla studentów II-V roku na Wydziale Rzeźby krakowskiej ASP. Pełni funkcję prorektora ds. studenckich.

Zajmuje się rzeźbą, medalierstwem, rysunkiem i fotografią. Prace prezentował na trzynastu wystawach indywidualnych, m.in.: w Centrum Rzeźby Polskiej w Orońsku, BWA w Bydgoszczy, CSW SOLVAY w Krakowie, BWA w Rzeszowie, Muzeum Północno-mazowieckim w Łomży, Pałacu Sztuki w Krakowie, Galerii Sztuki Współczesnej we Włocławku, Galerii Białej NCK w Krakowie. Uczestniczył w kilkudziesięciu wystawach i pokazach zbiorowych w kraju i za granicą, m.in.: w Lyonie (Francja), Ronneby (Szwecja), Norymberdze (Niemcy), Seixal (Portugalia), Colorado Springs (USA), Brienz (Szwajcaria), Sakaide (Japonia), Tampere (Finlandia), Weisenhohe (Niemcy), CRP w Orońsku, Krakowie, Warszawie, Bydgoszczy, Radomiu, Łodzi, Toruniu, Katowicach, Gdańsku, Lublinie, Ostrowcu Świętokrzyskim, Zabrze, Tarnobrzegu, Nowym Sączu, Zamościu, Wieliczce, Sieradzu, Wrocławiu.

Brał udział w wielu ogólnopolskich konkursach rzeźbiarskich, m.in.: w Gdańsku, Gdyni, Bydgoszczy, Radomiu, Poznaniu, Warszawie, Przemyśle, Zamościu, w których został laureatem nagród i wyróżnień. Zrealizował m.in.: pomnik Jana Matejki w Krakowie, pomnik Filipa de Girard'a w Żyrardowie, pomnik *Synom Ziemi Sanockiej Poległym i Pomordowanym za Polskę* w Sanoku i *Pomnik Sybiraków* w Augustowie (zespół), formę przestrzenną *Rozpakowanie* w ramach ogólnopolskiego konkursu *Rozdroża Wolności*, Gdańsk-Oliwa 2013 roku. Uczestniczył w kilku międzynarodowych plenerach i sympozjach rzeźbiarskich w Austrii, Szwajcarii, Niemczech i Turcji. *Sztuka jest jednym z wielu języków, istotnym staje się więc poszukiwanie porozumienia, dbając o czytelność humanistycznego komunikatu.*



RATIO, 2016 (blacha stalowa, beton, papier, linka stalowa, akryl) 200x40x40 cm



Kraków – warto wiedzieć

Radość pisania, czyli „zemsta ręki śmiertelnej”

Jan Kochanowski marzył: Niezwykłym i nie leda piórem opatrzony/ Poleć precz, poeta, ze dwojej złożony/ Natury: ani ja już przebywać na ziemi/ Więcej będę; a większy nad zazdrość, ludnemi/ Miasty wzgardzę (...). (Pieśń XXIV). Julian Tuwim przyznawał: Nie wiedziałem, że się będę tak męczył,/ słów szukając dla żywego świata,/ nie wiedziałem, że gdy się tak nad wodą klęczy,/ to potem trzeba cierpieć długie lata (Sitowie). Czesław Miłosz nieco zgorszony pisał: W samej istocie poezji jest coś nieprzystojnego:/ Powstaje z nas rzecz o której nie wiedzieliśmy że w nas jest,/ Więc mrugamy oczami, jakby wyskoczył z nas tygrys/ I stał w świetle, ogonem bijąc się po bokach (Ars poetica). Zaś Wisława Szymborska ostrzegała: Nad białą kartką czają się do skoku/ litery, które mogą ułożyć się źle,/ zdania osaczające,/ przed którymi nie będzie ratunku (Radość pisania).

„Radość pisania” – taki tytuł nosi wystawa rękopisów Wisławy Szymborskiej w Bibliotece Jagiellońskiej. Rękopisy wierszy noblistki, a wśród nich *Lekcja*, *Wczesna godzina*, *Urodziny*, *Pytania zadawane sobie*, *Monolog psa zaplątanego w dzieje*, *Miniatura średniowieczna*, *Kot w pustym mieszkaniu* i *Radość pisania* można zobaczyć na wyjątkowej wystawie, zorganizowanej wspólnie z Fundacją Wisławy Szymborskiej. Pretekstem do jej przygotowania jest proces digitalizacji rękopisów wierszy przez Bibliotekę Jagiellońską (BJ) i opublikowanie ich w Jagiellońskiej Bibliotece Cyfrowej i na stronach Polony. Proces digitalizacji zbiorów BJ trwa od 2008 roku i jak informuje zastępca dyrektora BJ – Krzysztof Frankowicz, utrwalono już w postaci danych cyfrowych 600 tysięcy dokumentów: starodruków, grafiki, rękopisów, zbiorów muzycznych, kartograficznych, czasopism.

Podczas wystawy „Radość pisania” miłośnicy poezji noblistki mogą obejrzeć autografy wierszy oraz egzemplarze pierwszych wydań tomów poetyckich, w których te wiersze zostały opublikowane. Zaprezentowano także wydania poezji Szymborskiej w tłumaczeniach na języki obce. Zestawienie rękopisów z ich wersjami cyfrowymi oraz publikacjami książkowymi daje możliwość przyjrzenia się procesowi twórczemu jako całości – od pierwszych szkiców po wersję ostateczną, która trafia do czytelników. Przygotowanie przez Bibliotekę Jagiellońską cyfrowej wersji rękopisów poetki daje szeroki dostęp do jej spuścizny twórczej, a samej Bibliotece pozwala odpowiednio zabezpieczyć i zachować oryginały rękopisów.

Oglądając wystawę, można śledzić, a właściwie wyobrazić sobie proces twórczy poetki. Ale czy rzeczywiście jest to działalność radosna?

– Przechowywane w Archiwum Wisławy Szymborskiej bruliony jej utworów skłaniają do refleksji nad procesem twórczym, który rozpięty jest pomiędzy pierwszym zamysłem a finalnie uzyskanym kształtem dzieła, gotowym do powielenia drukiem – stwierdza dr Urszula Klatka, kurator wystawy. Poetka nie odpowiadała na pytania dotyczące swej pracy twórczej, dlatego zachowane wśród archiwaliów autografy, maszynopisy i wydruki komputerowe z jej odręcznymi poprawkami zdają się niemymi świadectwami aktywności pisarskiej. Można na nie spojrzeć jak na obiekty z epoki minionej; kalka maszynowa, wtórnik, szary przebitkowy papier czy kartoniki, uzyskane przy okazji zakupu

garderoby, mimo że nie tak chronologicznie odległe, w zestawieniu z komputerowymi edytorami tekstu wydają się nam co najmniej archaiczne.

Bruliony – oprócz niepowtarzalnego charakteru ręki – noszą piętno rozterek twórczych noblistki, odzwierciedlają niekiedy żmudne szukanie słowa, pokazują próby udoskonalenia kompozycji wiersu – kontynuuje dr Klatka. Skreślenia, nadpisane frazy,



Fot. Marian Nowy

W ten sposób poezja trafia pod strzechy...

poprawki pojawiają się nawet w autografie wiersza *Radość pisanie*, który, wydawałoby się, nie powinien nosić śladu tych wysiłków. Chaos brulionowy można odczytywać zarówno jako dynamiczny zapis zmagania z materią języka, można również zobaczyć w nim drogę do formy doskonałej. Eksponowane rękopisy tworzą przede wszystkim opowieść o pracy nad tekstem, pracy twórczej, której nie sposób przedstawić jednowątkowo, bo mnóstwo tutaj dygresji, motywów pojawiających i nagle zaniechanych, wreszcie wersji alternatywnych. W jakim stopniu ta opowieść jest radosnym przesłaniem o tworzeniu, a ile w niej rozterek i udręki, każda ze zwiedzających osób powinna ocenić sama. Wszystkie zaprezentowane archiwalia potwierdzają fakt, że pisanie to z pewnością przygoda, niejednokrotnie okupiona wysiłkiem, który w perspektywie czasu przynosi radość zatrzymywania myśli – konkluduje Urszula Klatka.

Jak pisze Wisława Szymborska w tytułowym wierszu *Radość pisanie*: Jest więc taki świat,/ nad którym los sprawuje niezależny?/ Czas, który wiąże łańcuchami znaków?/ Istnienie na mój rozkaz nieustanne?/ Możnaść utrwalania./ Zemsta ręki śmiertelnej.

Wystawę będzie można oglądać do 27 marca br.